

W lutym 1965 roku — przed dwa ma lata i dziesięćmi miesiącami — johnsonowskie Stany Zjednoczone, nie wypowiadając wojny, rozpoczęły wojnę powietrzną przeciwko Demokratycznej Republice Wietnamu.

Prehistoria

„Podam propagandową przyczynę rozpoczęcia wojny, obojętnie, czy będzie ona prawdziwa, czy nie. Zwycięzcy nie będzie się nikt później pytał, czy mówił prawdę, czy nie. Przy rozpoczęciu wojny nie chodzi o prawo, lecz o zwycięstwo...” Tak to w sierpniu 1939 roku, na tydzień przed napadami na Polskę, po ucztach swych generałów Adolf Hitler. I ponieważ pewien był zwycięstwa nad Polską w ciągu niewiele tygodni, jego SS przygotowała pospieszną prowokację gliwicką.

Hitler był faszystowskim dyktatorem. Natomiast Johnson jest „demokratycznym” prezydentem.

Toteż, skoro pentagońskie „jaskinie” zapewniały go już w 1964 roku o szybkim ujarzmieniu Wietnamu, choć też podzielał pogląd, iż chodzi nie o prawo lecz zwycięstwo tym bardziej potrzebował „propagandowej przyczyny”. Musiał bowiem otrzymać od Senatu pełnomocnictwa, pozwalające mu wkroczyć na drogę pełnego wykorzystania militarnej przewagi imperialistycznego supermocarstwa wobec narodu wietnamskiego.

Johnsonowskimi Gliwicami stała się Zatoka Tonkińska. W sierpniu 1964 roku US-Navy przeprowadziła piracką napad na flotę DRW. Niby to w odwet za rzekomy atak północnowietnamskich kutrów torpedowych przeciwko dwóm niszczycielom amerykańskim. Dziś co prawda nawet w Pentagonie wyznaje się cynicznie, iż owe niszczyciele nie zostały zaatakowane przez wietnamskie ścigacze. Ale wówczas?...

Wykorzystana prowokacja

W każdym razie Senat USA, w atmosferze hysterii rozpętanej tą

AGRESJA POWIETRZNA USA W WİETNAMIE

prowokacją, pospiesznie, w ciągu dwóch dni uchwalił to, czego domagał się Johnson; pełnomocnictwa do „podjęcia kroków obronnych”.

Po dziś dzień Johnson, wciąż jeszcze nie wypowiadając wojny, prowadzi agresję. Ba, po 34 miesiącach eskalowania powietrznego piractwa, skłonny jest nawet pogodzić za mirażem zwycięstwa choćby w przepaść ryzyka globalnego kataklizmu wojennego, o nieobliczalnych następstwach. Na uzasadnienie eskalacji swych szaleństw mając tylko to, że wszelkie dotychczasowe stopniowanie agresji powietrznej w Wietnamie nie przyniosło oczekiwanego triumfu siły.

A przecież od dawna już powietrzna agresja USA w Wietnamie przekroczyła pod względem rozmachu wszystko, co należy do historii wojen powietrznych.

ziemia, amunicja lufowej broni pokładowej...

Ile z tych ogółem półtora miliona ton bomb, „rozdzielono” pomiędzy oba Wietnamy? Pentagon nie ujawnił dokładnych danych na ten temat. Stwierdził wszakże, iż stosunek niszczycielskiego balastu zrzuconego do końca października br. na terytorium DRW i Wietnamu Południowego, ma się jak 17:13, a więc 850 000 t. i 650 000 t.

By uprzytomnić sobie ile to jest 650 000 ton bomb, można obliczyć, ile wagonów kolejowych trzeba by dla jednoczesnego przewiezienia tego balastu. 45 555 i pół „piętnastotonówek”. Daje to pewne wyobrażenie, jako że np. cały udział USA w UNRRA, dałby się załadować do zaledwie 28 000 identycznych wagonów.

Sięgamy z kolei do „klasycznych” przykładów z drugiej wojny światowej.

4,1 t bomb na kilometr

W czasie również 33 miesięcy aktywnych działań lotnictwa USA przeciwko faszystowskiemu Niemcom (od 17. VIII 1942 do 8. V 1945 roku), łącznie na obszar Trzeciej Rzeszy (w granicach z 1941 roku) spadło z amerykańskich samolotów 641 000 t. bomb. A więc w gruncie rzeczy terrorystyczna działalność lotnictwa Amerykanów przeciwko samej tylko DRW (650 000 t. bomb), prowadzona bez

wypowiedzenia wojny już znacznie przewyższyła pod względem zużycia masy środków niszczycielskich całe zaangażowanie lotnictwa USA przeciwko hitlerowskiej „Festung Deutschland”.

Przy tym nie należy zapominać, iż ówczesne granice wielkoniemieckiego Reichu Adolfa Hitlera obejmowały (bez tzw. Protektoratu i tzw. Generalnej Guberni) obszar 680 700 km kwadratowych. Czyli, jak nie trudno obliczyć na statystyczny kilometr kwadratowy Trzeciej Rzeszy lotnicy amerykańscy zrzucili zaledwie 1 tonę bomb. Natomiast na każdy ze 157 000 kilometrów kwadratowych obszaru Demokratycznej Republiki Wietnamu — już do końca października średnio 4,1 tony.

Co pozwala sformułować wniosek: USA prowadzi przeciwko socjalistycznemu Wietnamowi co najmniej czterokrotnie intensywniejsze działania powietrzne od tych, które swego czasu prowadziły jako uczestnik koalicji antyhitlerowskiej przeciwko „Grossdeutschland”.

A przecież Johnson jednocześnie wysłał się bombowo przeciwko „swe mu” Wietnamowi Południowemu. Tam jego piloci (przypomnijmy) zrzucili już 850 000 t. bomb, czyli 5,4 t. na każdy ze statystycznych 710 000 kilometrów kwadratowych. Czasowe choćby utrzymywanie w sajskońskich fotelach marionetkowej władzy, quilingów pokroju Ky, USA forsują bombardowaniem kraju, który ponoć bronią. Bombardowaniem niemal pięć i pół raza intensywniejszym, niż wojna powietrzna przeciwko hitlerowskiemu Niemcom.

Mieczysław Skąpski

Nowoczesność — co to znaczy?

Nie jest to bynajmniej pytanie błahe albowiem przymiotnik „nowoczesny” używany bywa w najróżniejszych okolicznościach. Tak różnych, że sens jego przestaje być jasny, staje się wieloznaczny, w rezultacie — niezrozumiały.

Pół biedy gdy mówimy o rzeczach. Tu każdemu z grubsza wiadomo, że samochód nowoczesny to znaczy najnowszy, posiadający wszelkie udoskonalenia podyktowane przez ostatnie osiągnięcia techniki. Nowoczesny dom będzie zarówno piękny zewnątrz (przy czym piękno to musi cechować prostota, a nie jakieś wymyślne ozdóbki), jak i wygodny wewnątrz, wyposażony we wszelkie udogodnienia. I tak w odniesieniu do wszelkich innych rzeczy. Traktujemy za nowoczesne te, które są rezultatem osiągnięć postępu technicznego naszych czasów, które są więc jakościowo najlepsze.

Z ludźmi sprawa się komplikuje. Tu już bywają nieporozumienia. Ileż to razy słyszy się: — co za nowoczesny człowiek, zobacz jak on jest ubrany! Pewne grupy młodzieży ubiór traktują jako manifestację swojej nowoczesności, ba! wręcz identyfikują modny ubiór z nowoczesną postawą człowieka. Chłopcy (młodzi mężczyźni też) nie chodzą do fryzjera, zapuszczają tak długie włosy, że niekiedy trudno odróżnić czy to chłopiec czy dziewczyna. Na rodzicielskie błagania by poszli się ostrzyć odpowiadają: — czy wy chcecie, bym był staroświecki, bym się pokazał w takim staromodnym uczesaniu? Niejedna dziewczyna powie, że sukienka zakrywająca kolana to też dowód staroświeckości, że nowoczesna dziewczyna nosi jedynie mini.

Nie chcemy tu bynajmniej wyrażać dezaprobaty dla różnych kaprysów aktualnej mody. Przejdzie to jak i wiele innych szaleństw, których już byliśmy świadkami. W końcu jest sprawa umowna, co uznajemy za modne i godne noszenia. Nie jest natomiast sprawa umowna co uznajemy za godne „noszenia” pod warstwą długich włosów (byłoby tylko były czyste, to pół biedy), czyli pod czaszką. Albowiem nowoczesność niewiele ma wspólnego z ubiorem, natomiast bardzo wiele z tym co człowiek myśli.

Można być bardzo modnie ubranym, lecz mieć bardzo staroświeckie poglądy, można i odwrotnie — ubierać się staromodnie, a myśleć ogromnie nowoczesnie.

Ale ubiór jest w końcu sprawą marginesową w rozważaniach o nowoczesności. Jak to więc jest z tym nowoczesnym myśleniem? O co tu chodzi?

Niechże nam pomogą badania ankietowe przeprowadzone przez Z. Supina na temat m. in. preferowanych przez ankietowanych cech dobrego robotnika oraz wzorowego przełożonego. Badania te rzucają cie kawe światło właśnie na nowoczesność myślenia ankietowanej młodzieży. Otóż wśród cech dobrego robotnika na czele znalazły się obowiązkowość i zamiłowanie do zawodu, na szarym końcu natomiast pomysłowość i szybkość w pracy. Przy cechach wzorowego przełożonego

go za najważniejsze uznano sumienność, uczciwość i koleżeństwo, znacząco nie dając uplasować się takim cechom jak umiejętności organizacyjno-kierownicze i wysokie kwalifikacje, zaś zupełnie na końcu mądrość. Nie jest to podejście zbyt nowoczesne. Współczesny przemysł wymaga od ludzi wysokich kwalifikacji, wysokiej sprawności, szybkości i inicjatywy. Można bardzo kochać swój zawód, lecz niewiele się na nim znać, można być też bardzo obowiązkowym, przychodzić punktualnie do pracy, nie obijać się w czasie pracy, wykonywać wszelkie polecenia — ale wykonywać swoją robotę bardzo wolno na skutek braku kwalifikacji, braku pomysłowości itd. itp. Oczywiście, nie należy z kolei twierdzić, że obowiązkowość i zamykanie do zawodu są bez znaczenia, przeciwnie — mają one znaczenie duże, tyle że w parze z nimi powinny iść inne ważne cechy.

Tak samo wygląda sprawa z hierarchią cech wzorowego szefa, zaproponowaną przez ankietowanych. Bardzo dobrze jeśli szef jest uczciwy, sumienny i koleżeński. Jednakże te cechy nie dają jeszcze człowiekowi żadnych uprawnień do sprawowania kierowniczych funkcji. Przede wszystkim musi on mieć odpowiednie kwalifikacje i umiejętności organizacyjno-kierownicze, musi być człowiekiem mądrym — to są cechy dla kierownika podstawowe. I tu więc wyszła na jaw nienowoczesność myślenia, schematyzmy odczuwania ludzkiego pochodzenia z jakiegoś stroświeckiego lamusa poglądów.

Można się zastanowić nad nowoczesną postawą człowieka wobec świata, jaką człowiek kieruje się w życiu ideologią (czy ją w ogóle ma, bo i to będzie charakterystyczne dla nowoczesności myślenia). Można mówić o nowoczesnych i staroświeckich dążeniach; do tych ostatnich na pewno kwalifikuje się uznawanie pieniędzy i rodowodu jako mierników pozycji społecznej człowieka. Można też mówić o nowoczesnym (czyli twórczym) stosunku do pracy bądź nauki. Temat wydaje się bardzo szeroki i chyba wart szerokiej dyskusji.

Trafnie i zwięźle wypowiada się na temat nowoczesności Tezy Przedzjazdowe Związku Młodzieży Socjalistycznej: *Nowoczesność to stałe dążenie do postępu, kierowanie się w życiu przodującą ideologią społeczną, rozumienie procesów zachodzących we współczesnym świecie, to socjalistyczne, sprawiedliwe stosunki między ludźmi, szacunek dla wiedzy i fachowości, rzetelnej pracy i nauki. Tak pojmując nowoczesność przeciwstawiamy się sprowadzaniu jej do czysto zewnętrznych pozorów. Nowoczesność — to postawa socjalistycznego zaangażowania, myślenia kategoriami dobra ogólnego, przeobrażanie życia, budowanie społeczeństwa socjalistycznego.*

Nie wątpimy, że i ten pasjonujący temat znajdzie szerokie odbicie w naszej dyskusji „MŁODZI — NOWOCZESNI”, w której mówimy o dążeniach współczesnej młodzieży, jej ideałach życiowych, jej wyobrażeniach nt. współczesnego bohatera itp. Zapraszamy do wypowiedziania się wszystkich zainteresowanych.

70-lecie urodzin Władysława Broniewskiego

Dzisiaj mija 70 rocznica urodzin Władysława Broniewskiego, najwybitniejszego przedstawiciela polskiej liryki rewolucyjnej. Żył lat 65. Zapisał się w historii literatury polskiej jako autor liryki, tematycznie związany z aktualnymi zadaniami i tradycją walk polskiej klasy robotniczej. W swej twórczości łączył ideały proletariackiego internacjonalizmu z żywym patriotyzmem. Jego twórczość pełna jest jednocześnie akcentów głęboko osobistych. Stworzył typ poezji o wielkiej sile oddziaływania emocjonalnego, która odegrała doniosłą rolę ideową mobilizując dla ruchu rewolucyjnego masy robotnicze i postępową inteligencję. Jego twórczość pozostaje żywa i dzisiaj.

Poniżej drukujemy jeden z wierszy Broniewskiego, ze zbioru pt. „Wiersze warszawskie” („Czytelnik” 1964).

W. B. BEZ TYTUŁU

Co mi tam po tytułach: wystarczy własne nazwisko, by po odbitym w Wiśle księżycu się tulać i widzieć wszystko.

Ja słyszę, jak trawa rośnie, i od tego serce mi rośnie, ale co tam zielona trawa, kiedy co dzień, co godzina czuję, jak się z gruzów okrutnych dźwiga i buduje Warszawa.

Ja nie chcę być szefem BOS-u, bom nie inżynier, ale umiem dźwigać pod niebiosa Wrocławie, Szczeciny, Gdynie!

Węgiel dobywać? przede przaszać? nie by z tego nie wyszło. Ja na sto koni parowych chcę wsiąść i pędzić w przyszłość!

Za to wszystko chcę otrzymać w darze ten z Wisły księżyc srebrny, ambasador republiki marzeń, minister spraw niepotrzebnych.

W stulecie śmierci artysty

Sto lat temu zmarł malarz, którego twórczość bez reszty związana jest z polską, polską. Wartość jego dzieła bywa kwestionowana przez awangardowych malarzy od strony formy, estetyki obrazu. Nosiła ona już w latach powstawania cechy pewnego epigonizmu, idealizowania bohaterów, romantycznej egzaltacji. Dla wielu pokoleń była ona jednak jakimś ważnym symbolem polskości, odgrywała większą rolę, niż ta, którą odgrywa z reguły dzieło sztuki. Całe pokolenia wychowywały się na kulcie jego dzieł, były one dla nich jakimś ważnym narodowym symbolem postawy wobec wojny, męczeństwa, narodowych tragedii. Tak jak na tragedię narodową minionej wojny, na martyrologię Polaków w latach hitlerowskiej niewoli, młode pokolenie nie znające doświadczeń wojny, patrzy dziś przez pryzmat sztuki

Borowskiego, Linkego czy Andrzeja Wróblewskiego, tak na dramat powstania styczniowego patrzymy dziś przede wszystkim przez pryzmat sztuki Artura Grottgera. Autora „Polonii”, „Lituanii” i „Wojny” — cykli rysunkowych, które

Artur Grottger malarz zaangażowany

stały się czymś więcej niż dziełem sztuki. Stały się symbolem gniewu, rozpacz, zrozumienia wielkich tragedii.

Minęło właśnie sto lat od śmierci artysty. Warto przypomnieć sobie chyba kim był. Co zdziałał, jak głęboko weszła w świadomość potomnych jego ideologia artystycz-

na, jak bardzo zaważyła ona na dziejach sztuki polskiej XIX wieku.

Artur Grottger urodził się w 1837 roku. Żył krótko, tylko lat trzydzieści. Większość życia spędził za granicą w Wiedniu, Monachium, Paryżu. Był jednak artystą najbardziej polskim, najściślej chyba związanym, bardziej może nawet niż Matejko, z życiem Polski, z jej duchem narodowym, wyzwoleńcym. Malował sceny batalistyczne i historyczne, portrety i studia realistyczne. Przede wszystkim jest dziś jednak dla nas autorem wielkich, powstańczych cykli rysunkowych, płócien martyrologicznych takich jak „Pochód na Sybir” czy „Pojednanie”. Jak każdy zaangażowany artysta lekceważył formę; w jego listach i pamiętnikach nie wiele można znaleźć wypowiedzi na temat warsztatu, techniki budowania obrazu. Najważniejsze były dla niego idee, wyrażanie myśli i postawy narodu. W jego kartonach

Dokończenie na str. 2

Co było wcześniej: dyscyplina jako pojęcie, czy jako przyrząd do łojenia skóry niesfornych chłopaków? Nie wiem. W każdym razie i jedno i drugie służyło wspólnemu celowi — dźwiganii rygoru.

Pozostawiając czasy chłosty za sobą (jedynie jeszcze na użytek domowy stosowanej) zapomina się wszakże niekiedy, że potrzeba rygoru ani trochę się nie zestarzała. Przeciwnie, obserwując bliżej życie, nieodparty nasuwa się wniosek, że rozwinęta społeczność na rzucę rygoru coraz większe.

Pewien jestem, że Zagłoba znalazłszy się w którejś południe na skrzyżowaniu przy poznańskim „Bałtyku” szalałby — mocium panie — z gniewu, iż wolność jego szlachetkę ograniczono, bo nie dał mu przejść jeździ w dowolnej chwili, jeno na jakoweś sygnały. Podkaszawski żupana, ruszyłby szparko na drugą stronę i... wpadłby pod samochód. Nas kolorowe światła nie dziwią, bośmy uznali potrzebę koegzystencji chodnika z jeźdźcą, a jeśli jest coś w tym groźnego to właśnie nie z dyscypliny — i kierowcy, i piesi.

Ten rodzaj niesfornych ludzi, choć nad wyraz niebezpiecznych, ma jednakże dość ograniczone możliwości wyrządzania szkód, bowiem na ogół popełnianych jedno razowo. Jest natomiast obszerny katalog rodzaju ludzkiego, których niesubordynacja nie wie dzie za kraty, ale szkód wyrządza wiele. Przykładów daleko szukać nie trzeba. Równie wiele jest form kłopotliwej dyscypliny, poczynając od ignorowania zegarka, lekceważenia poleceń przełożonych, braku poszanowania prawników, czy urzędów sanitarnych.

Oczywiście, że gdy ktoś się spóźnia na imieniny ciotecznego brata dziadka, to już jego prywatna sprawa. Nawet mi nawet wadzi nieobecność pana młodego na własnym ślubie, to także jego osobista rzecz. Można wtedy mówić co najwyżej o roztargnieniu, niepunktualności lub niesumienności obywatela XY.

Wprawdzie cywilizowany świat nie toleruje nawet takich odchyleń od norm towarzyskich czy społecznych, lecz pozwolić je sobie złożyć na karb naszych prywatnych przywar i przymknąć oczy. Jest jednakże gorsza sprawa, gdy swobodność taka, opuściwszy sferę życia prywatnego, pojawia się w biurze, przy warsztacie, na budowlanym rusztowaniu, czy za sklepową ladą.

Nie chcę tu nikogo umoralniać, ani też straszyć kominiarzem. Ale uczmy się obywateli rachować. Mam tu na myśli oczywiście rachunek ekonomiczny, bo z tym na der często jesteśmy mocno na baki, zwłaszcza gdy trzeba nam spojrzeć przez pryzmat złożonych praw i zjawisk ekonomicznych.

Zbigniew Mika

Komputery i dyscyplina

Jakże tu bowiem inaczej powiedzieć o takich oto faktach. W minionych trzech kwartałach tego roku nieusprawiedliwiona nieobecność w wielkopolskich zakładach pracy przekroczyła liczbę 500 000 godzin roboczych. Jeśli do tego dodać czas zmarnowany wskutek przestoju produkcji (najczęstsza przyczyna: zła organizacja pracy), co wynosi ponad 1 100 000 godzin — to można dołożyć się bez mała 800-osobowej załogi, która stała w tym czasie bezczynnie. Rachunek ten wynika z założenia, że każdy z tej załogi powinien pracować prawie 2 300 godzin w roku.

Nie chodzi tu o ścisłość obliczeń, lecz o komunikatywność argumentu. Bez tego trudno nieraz sobie uświadomić, czym jest suma przypadków złamanej dyscypliny. A przecież trzeba tu jeszcze dodać wydatki na niewykonaną pracę i fakt, że w tym czasie budzie ci mogli i powinni tworzyć no-

we, wielomilionowe wartości w postaci towarów, czy dóbr inwestycyjnych.

Straty z tytułu nieusprawiedliwionej absencji i postojów (te uważam za przejaw złej dyscypliny kierownictwa przedsiębiorstwa) kształtują się jeszcze jaskrawiej na budowach. W samym tylko Poznańskim Przedsiębiorstwie Budownictwa nr 4, w okresie stycznia — września br. przepało 25 000 nieprzepracowanych godzin roboczych, a w Przedsiębiorstwie Robotów Kolejowych nr 10 — prawie 35 000 godzin.

Nie wspominam już o absencji chorobowej, z której część trzeba niestety, również złożyć na karb spryciarstwa „chorych” i niekiedy liberalizmu niektórych lekarzy. Nie wliczam również do tego kosztownego rachunku ogromnych sum, wydatkowanych na opłacenie (w tym samym okresie trzech kwartałów br.) 10 milionów godzin nadliczbowych przeznaczonych na pracę, która mogłaby być wykonana przy pełnej dyscyplinie (personalnej i organizacyjnej) w „normalnym” czasie.

Wybaczenie przydługiego wywodu, ukany liczbami, ale od rachunku uciec się nie da, jeśli chce się żyć lepiej i zasobniej. Nie ma we współczesnym świecie postępu bez liczenia, bez planów i programów gospodarczych. Tym się zresztą tłumaczy wielką karierę komputerów i wszelkiego rodzaju matematycznych maszyn.

Kariera ta wywodzi się przede wszystkim stąd, że komputery nie są konieczne do przeliczania grozy w każdej kieszeni oddzielnie, ale do rachowania w skali gospodarstwa narodowego, społeczeństwa. Bo też, tylko zamożne, a więc realizujące swój program gospodarczy państwo, może zapewnić obywatelom oczekiwany byt materialny.

Dla niektórych są to truizmy, a tych powtarzać nie wypada. Czyż wobec tego przystoi stale mówić o elementarnych zasadach dyscypliny, czym jest również sumienna i wydajna praca? Okazuje się, że mówić o tym trzeba, i to dobitnie!

NADZIEJE TECHNIKÓW

Przed niespełna dwustu laty pewien fryzjer z zawodu, Anglik Ryszard Arkwright, skonstruował maszynę do wytwarzania przędzy (przędzarkę mechaniczną) tak udatną, że w następnych dziesięcioleciach zlikwidowała ona w zupełności zawód przędzarczy i przadek. Losy Arkwrighta przebiegały rozmaicie: najpierw zrujnowany przez tłum rzemieślników, którzy w obronie swojego zatrudnienia wtargnęli do domu wynalazcy demolując całe urządzenie, złożył później wraz z niejakim Struttem pierwszą przedziałnię mechaniczną i dorobił się majątku. Od tego rozpoczął się wielki przemysł Anglii; nie też dziwnego, że kraj ten zazdrośnie strzegł tajemnicy wynalazku Arkwrighta, zaś parlament angielski wydał ustawę, zabraniającą wywozu maszyn włókienniczych poza granice kraju.

Ustawa była ściśle przestrzegana. Wszystkie statki opuszczające angielskie porty były skrupulatnie rewidowane, a agenci i inspektorzy wykrywali najspytliwiej zamaskowane plany i części maszyn. Nie wypuszczano nawet ludzi — fachowców branży włókienniczej.

I oto jednemu z młodych ludzi, poszukujących szczęścia w Nowym Świecie udało się oszukać władze angielskie. Był to mechanik Slater, który po sześciolletniej praktyce w przedziałni Strutta poznał maszynę przedziałnicę jak własną pięć palców, a w swojej fotograficznej wprost pamięci utrwalił doskonale kształt i wymiary różnych części tych maszyn. Slater przebrał się za chłopca, przybrał jego sposób zachowania się, zaopatrzyl się w skromne zawiniątko i w ten sposób, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, przedostał się na statek i wyjechał do Ameryki. Tam, wszedłszy w porozumienie ze znanym przemysłowcem Brownem, narysował z pamięci plany maszyn, które spowodowały przewrót w amerykańskim przemyśle włókienniczym.

Jak państwo na tym przykładzie widzą, wywiad przemysłowy ma swoje, można powiedzieć, tradycje; dziś jest on znacznie bardziej rozwinięty i korzysta z najnowocześniejszych zdobyczy nauki i techniki. Jest on wytworem podziałów, istniejących na naszej małej planecie i wśród różnych form współzawodnictwa między ludźmi reprezentuje te najwstrętniejsze pod względem moralnym.

W tym niezbyt wesołym obrazie jedno jest wszakże pocieszające: oto fakt, że zwłaszcza w czasach intensywnego rozwoju nauki i techniki niczego na dłuższy okres nie da się ukryć. Może przypominają sobie państwo, że gdy po latach ścisłego utrzymywania tajemnic atomowych doszło wreszcie do wymiany doświadczeń pomiędzy fizykami radzieckimi i amerykańskimi, okazało się, że zgodność niezależnie od siebie uzyskanych wyników jest zdumiewająca. Rozwiązania konstrukcyjne i technologiczne są oczywiście różne, ale i tu i tam odmiennymi wprawdzie drogami dochodzi się do analogicznych rezultatów.

Jeśli się nad tym zastanowić, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że ludzkość marnuje swoje siły; że po wielokroć odkrywa to samo lub to samo rozwiązanie, podczas gdy setki i tysiące poważnych problemów wciąż czekają na rozwiązanie. Może udałoby się przyspieszyć opanowanie chorób... poczynić wydatne postępy w walce z nekującym miliony ludzi Ziemi głodem... przydziać nagich, Slaterów, ponieważ udałoby się zespolić siły.

Marząc o tym, lekarze, rolnicy, technicy spoglądają z nadzieją ku tym, którzy kierują skomplikowanymi procesami zachodzącymi wewnątrz społeczeństw i pomiędzy społeczeństwami: ku ekonomistom i politykom.

ELEKTRON

Artur
Grottger
malarz

zaangażowany

Dokończenie ze str. 1

zawarł się cały dramat powstańczej wojny. Tragedia zrywków, rozłąk, przegranych bitew, umierania. Technika jego rysunków przypomina na plakat. Dążność do metafory,

przeciwstawienia sytuacji, pointy, symbolu. Jego ostatni cykl prac „Wojna” przedstawia wojnę w ogóle, tragedię każdej wojny, jej mechanizm działania. Był w tym protest artysty, ale była w tym też i romantyczna chęć walczenia, chęć bronięcia wolności kraju. Trudno orzec czy Artur Grottger był wielkim artystą. Był jednak na pewno artystą zaangażowanym w swój czas, był patriotą; był twórcą, którego dzieła weszły do świadomości społeczeństwa. A to jest chyba największym miernikiem sztuki, sprawą decydującą.

O. B.

Przeglądamy Prasę

MISS BZDURA
I JEJ AUTORZY

Jerzy Putrament w charakterze felietnisty „Życia Warszawy” opublikował w nr 293 tego dziennika w rubryce „Dzień jak co dzień” uwagi pt. „Miss Bzdura”. W jednym z fragmentów, zatytułowanym „O hodowli zaskrońców w brzuchach ludzkich”. Putrament powołuje się na wiadomość wydrukowaną przez „Express Wieczorny” i powtórzoną przez „Życie Warszawy” o tym jakoby jakiś Rumun, pijąc wodę przelkaną „embrion” węzła zaskrońca, po czym po kilku latach, cierpiąc na bóle brzucha, dał się zbadać specjalistom, którzy wykryli w jego wnętrznościach węzła długości 1.40 m.

Putrament udowadnia bzdurność tej wiadomości, pisząc m. in.:

... „Węże są kręgowcami. Mogą żyć tylko pobierając tlen z powietrza. We wnętrznościach ludzkich są gazy, owsem, ale nie tlen, wprost przeciwnie. Już pomijając wszystkie inne okoliczności, też bzdurne, ta jedna przekreśla wiarygodność informacji wybitej przez tak poważną gazetę, jak „Życie”.

To stwierdziwszy, Putrament zabiera się do wyciągania wniosków na temat sensu tej bzdury. Poczytajmy więc, co ma nam Putrament do powiedzenia na temat informacji, którą znalazł w „Expressie Wieczornym” i w „Życiu Warszawy” (wszystkie podkreślenia nasze, lekt.).

„Ta bzdura ma sens ogólniejszy (...) zwraca uwagę na złe maniere, które się panoszą w naszej prasie, zwłaszcza w prowincjonalnej. W słusznej trosce o ożywienie swoich łamów, redaktorzy gazet terenowych, zwłaszcza niedzielnych, puszczają masowo tzw. „michalki” (...) Gazety terenowe, dają mało wiarygodnej informacji ogólnej, ale „za to” zaśmiecają swe łamy bzdurami, często urągającymi nie tylko zdrowemu rozsądkowi, ale i dobremu smakowi.”

Chcę tu wystąpić w obronie prowincjonalnych (jak wynika z wywodu Putramenta) gazet: „Expressu Wieczornego” i „Życia Warszawy”. Czy można na podstawie jednego przypadku, jednego fałszywego zaskrońca wyciągać tak dale-

Kazimierz Nowowiejski

Etiudy baletowe i „Ptak”

cy spelunkowej wielkiego miasta kręcą się chuligani — cwaniacy. Ubrani w kolorowe koszule i dzinsy. Cicie oczywiście w mini. Wszyscy po trochu pod gazem. Zespół nasz tańczy zgrabnie. Wygląda młodo i wdzięcznie. Choć wspomnijmy K. Kujawę, która kreuje wyróżniający się spośród masy — typ różowego wampa w spodniach. Dyrygował w trafnie wydozowanych tempach M. Dondajewski. Nadmieniam, że piszę wrażenia ze spektaklu niedzielne (II premiera).

Następnym numerem składankowym jest „Adagio” Albiniego, zapomnianego mistrza starołowskiego, o którym nie wspominają nawet encyklopedie. Muzyka wyjątkowo melodyjna, namaszczona, dostojna. Organy w połączeniu ze smyczkami stwarzają nastrój ściągnięty, szkoda że popsuły przez zamazną i brudnąw którą dekoracji. Chyba przez chęć uduziwniania i przekorę kazal Drzewiecki pod mistyczne frazy Albiniego dokonywać

ewolucji o charakterze erotycznym. Scena z 5 gołymi parami, ciągle kulającymi się po trawie, nie wywołuje zbyt estetycznych wrażeń. Zresztą oba omawiane dotąd „obrazki” chyba należy nazwać tylko szkicami, wprawkami choreograficznymi, etiudami nawet niewypalami.

Rangę artystyczną całego wieczoru podnosi finał czyli „Ognisty ptak” Strawińskiego, praca mistrzowska, zarówno gdy chodzi o libretto jak i muzykę, skonstruowana nieomylnie widowiskowo, subtelnie wykorzystująca rosyjski folklor, wyrafinowanie instrumentowania (jak na rok 1910). Teraz efektowny popis znajdują zarówno soliści i ansambl. Fantazyjne i baśniowe dekoracje B. Jankowskiej zasługują na uznanie, z wyjątkiem obrazu finałowego, kiedy raz owo ciasne wnętrze dworzyszczka, utrzymane znowu w brudnoróżowej gamie kolorystycznej. Jakże brakowało szerokiej rosyjskiej przestrzeni, błękitu nieba, zdrowej zieleni drzew

OPERA

I blasku słońca, które zatrumfowało ponad mrokami zakłętą królestwa Złotego Czarodzieja. Postać tę odtworzył znakomicie E. Koprucki, przerażający w swej upiorności, szczególnie sugestywny w „piekielnym tańcu Kościeja”. Pozytywne wrażenie wywarło opracowanie roli bohatera lwana przez utalentowanego P. Śliwę; krytykowałby jednak brzydki kostium, który jeszcze i wtapiał się w tło, nie tworząc ciekawszej plamy barwnej.

Zakłętą w drzewo Carewnę kreowała technicznie swobodnie L. Wojtkowiak. W partii tytułowej na sobotniej premierze oglądała publiczność primabalerinę O. Sawicką. Niżej podpisany jako „ognistego ptaka” widział R. Juszkównę — jeszcze dosyć monotonna, gdy chodzi o wyraz. Podkreśliłby nie mały wkład pracy całego zespołu baletowego, brawurowo realizującego teraz już szersze interesujące i pomyślowe koncepcje Drzewieckiego. Orkiestra Państwowej Opery, pod doświadczoną batutą E. Kowalskiego, z wirtuozerią pokonywała nie byle jakie trudności skomplikowanej partytury Strawińskiego. Na sobotniej premierze dyrygował R. Satoński, któremu należy się podziękować za wprowadzenie do Poznania fascynującego „Ptaka”, nie oglądane-go tu od roku 1938.

MAGNA CHARTA
LEKARZY POLSKICH

Ostatnio ogłoszono uchwalone przez Polskie Towarzystwo Lekarskie „Deontologiczno-etyczne zasady PTL”. Zasady tego kodeksu moralnego lekarzy omawia Henryk Kalwaryjski w „Prawie i Życiu”. Uznając przypomnienie o potrzebie tego zbioru idealów, jakie powinny przyswajać działalności lekarzy, jako wielką zasługę Polskiego Towarzystwa Lekarskiego — autor podkreśla zarazem, że ogłoszone zasady będą miały wartość społeczną w zależności od sposobu i powszechności wcielania ich w życie. I to jest z pewnością sprawa najważniejsza. Bo oto w tym samym wydaniu „Prawa i Życia” Krystyna Świątecka publikuje jakże korespondującą z tym stwierdzeniem relację reporterską pt. „Dobro chorego — najwyższym prawem”. Autorka zajmuje się wydarzeniem z maja 1965 r., kiedy to jeden z lekarzy warszawskiego szpitala dyżurnego nie przyjął do leczenia osoby przywiezionej tam autobusem, w którym nagle zesłabła. Osoba ta zmarła. Tymczasem toczyło się śledztwo w tej sprawie, odbyło się kilka rozpraw.

„W dwa lata po wypadku popełnienia przestępstwa — czytamy — po uprawnieniu się wyroku — jeszcze nie zostało wszczęte postępowanie dyscyplinarne. Jeszcze komisja kontroli zawodowej nie podjęła żadnych kroków, jeszcze lekarz nie został w pracy zawieszony ani z niej zwolniony. Jak ocenić te opieszałość? Chyba tylko jako solidarność w obronie winnego.”

Krystyna Świątecka zauważa, że olbrzymia większość lekarzy stosuje normę „dobro chorego — najwyższym prawem”. Gdy jednak sygnał o rażących niekiedy uchybieniach służby zdrowia zostaje ujawniony w każdej z badanych spraw spotkać się można z obroną winnego za wszelką cenę przez środowisko lekarskie. Szkody społeczne płynące z takich postaw, z takich obron, z niewyciągania do końca i natychmiast wniosków z takich faktów — zwraca uwagę Świątecka — to także olbrzymie i trudne do obliczenia, nieodwracalne szkody wychowawcze.

Obronę winnego za wszelką cenę, trzeba z pewnością uznać jako szkodliwą społecznie także w innych środowiskach. To — naszym zdaniem — na pewno sprawa, dotycząca nie tylko lekarzy.

LEKTOR